

SZ KIELE TOR EK

PIOTR
(CELE)

BookEdit



SZ KIELE TOR EK

PIOTR
(CELE)

BookEdit

[Kup książkę](#)

DŁA WOJTKA

#1

O d kilku godzin przedzierał się przez krzaki i zarośla. Las w tym miejscu był bardzo gęsty i nie dało się znaleźć żadnej oczywistej ścieżki. A pogoń nie ustawała... Miał wrażenie, że co chwila słyszy pomruki, krótkie nawoływania, trzaski łamanych gałęzi i szczęk broni. Oj, nie wyglądało to najlepiej. Poza poczwara, która go zobaczyła, musiało go gonić kilka innych postaci. Wolał nie wiedzieć kto. Przepchał się przez kolejną kępę paproci i niewysokich drzewek o kłujących gałązkach, dokładając do pokaźnej już ich ilości kolejne zadrapania na rękach. Zaraz za tym gąszczem wypadł na niewielką polanę.

Oddychał ciężko, był bardzo zmęczony. Miecz i skórzana kurtka coraz bardziej mu ciążyły. Kuszę i włócznię zgubił już dawno temu. Nadszedł moment, by pozbyć się kolejnych niepotrzebnych i ciężkich rzeczy. Na przykład kołczanu z bełtami czy siekierki, którą nosił za pasem. Brak narzędzia do rąbania drewna na ognisko był teraz najmniejszym problemem. Szybko zrzucił graty na niewielką kupkę i przykrył gałęziami oraz mchem. Bardziej chodziło o zatarcie śladów niż schowanie tych przedmiotów. Łyknął wody z bukłaka i ruszył dalej. Nie mógł się zatrzymywać na długo.

Dotarł do przeciwległej linii lasu i już miał zagłębić się w gąszcz, gdy spośród gałęzi coś na niego wypadło. Popchnięty upadł na plecy, nie

rejestrując, co takiego go przewróciło. Do jego nozdrzy dotarł obrzydliwy zapach zepsutego mięsa. Wstał najszybciej, jak potrafił, wyciągnął miecz i stanął naprzeciwko wroga. Przed nim z wysokiej trawy podnosił się obrzydliwy stwór. Z pozoru przypominał człowieka, jednak jego twarz całkowicie temu przeczyła. Sine usta były szersze niż u jakiegokolwiek stworzenia, a ich kąciaki prawie sięgały uszu. W paszczy, bo na pewno nie w ustach, widniały krótkie, ostre jak szpilki zęby. Po brodzie ciekła zielonkawa substancja wymieszana z krwią. Nos był wielką dziurą, z której wystawała kość i jakieś niezidentyfikowane ochłapy. Oczu nie było. Zamiast nich w oczodołach świeciły dwa niebieskie ogniki. Łysy czerep obłaził skórą i gdzieś tamś świecił bielą kości czaszki. Reszta postaci nie wyglądała lepiej. Szmaty i szczątki, jakie potwór miał na sobie, pewnie kiedyś były odzieżą. Teraz nie przypominały niczego sensownego. I były koszmarnie brudne. Wystające spod tych łachmanów części ciała miały brązowozielony kolor zepsutego mięsa. Wszystko to niemiłosiernie śmierdziało. Istota nie powinna w ogóle się poruszać, a mimo to stała na środku polanki i wyraźnie szykowała się do ataku.

Uciekinier wzdrygnął się, rejestrując te wszystkie szczegóły w ułamku sekundy. Nie bał się, ale ogarnęło go obrzydzenie. Ścisnął mocniej broń i próbował nie oddychać zbyt głęboko. Potwór już miał rzucić się do ataku, kiedy po obydwu jego stronach z lasu wyłoniły się szkielety. Było ich kilkanaście, a każdy wyglądał inaczej i był inaczej uzbrojony. Jeden miał stary, zardzewiały miecz, inny maczugę, kolejny jakieś szczątki topora. Łyse czerepy przykrywały rozwalone lub wpół zardzewiałe hełmy, garnki i wiaderka. Jeden miał nawet czapkę utkaną z wełny niewiadomego koloru. Dwa dzierżyły łuki, tak samo stare i zmurszałe jak cała reszta broni tej śmiesznej gromadki.

– No to już po mnie – powiedział szeptem młody wojownik. Szykował się w myślach na beznadziejną walkę z potwornym zgnilcem i bandą

szkieletów. Nie miał szans. Kiedy to sobie uświadomił, pożałował, że koniecznie chciał zobaczyć świat ludzi i wyrwać się z bezpiecznej strefy, gdzie mieszkała jego rodzina i przyjaciele. Tak bardzo chciał zobaczyć, co się zmieniło, odkąd ktokolwiek z nich odwiedził te miejsca. Ojciec powtarzał mu, że to nie ma sensu i że nic ciekawego nie zobaczy, a najpewniej zginie. Wszystko wskazywało na to, że miał rację. El-elendi nie zapuszczali się do tego świata od bardzo, bardzo dawna. Najwyraźniej mieli ku temu dobre powody. Śmierć z ręki nieumarłych to był – coś – całkiem dobry powód, żeby unikać takich miejsc.

Te myśli przemknęły przez jego głowę w mgnieniu oka, gdy nagle stało się coś zupełnie niespodziewanego. Cała zgromadzona na polanie obrzydliwa banda wcale się na niego nie rzuciła. Zgnilec warczał to na wojownika, to na otaczające go szkielety, te zaś wyraźnie groziły bronią śmierzdzącemu potworowi i bez żadnego ostrzeżenia zaatakowały go całą chmarą naraz. Posypały się uderzenia zdezelowanej broni. Łucznicy strzelali połamanymi strzałami zaskakująco skutecznie. Zgniły stwór upadł na ziemię przysypany kośćmi, miednicami i czaszkami. Ta dziwaczna potyczka trwała dłuższą chwilę. Nieumarli kotłowali się na trawie, rycząc, skrzecząc i wydając różne inne dziwaczne dźwięki. Wojownik obserwował to z coraz większym zaskoczeniem.

W pewnym momencie zgnilec zaryczał wyjątkowo głośno, odepchnął się od ziemi, roztrzając szkieletowych wojowników na wszystkie strony, i wyskoczył wysoko w powietrze prosto w kierunku młodego mężczyzny, który był kompletnie nieprzygotowany na atak. Tocząca się przed nim walka uspiła jego czujność. Był przekonany, że potwory pozabijają się nawzajem, dlatego nawet nie uniośł miecza, gdy wielkie cielsko poczwary uderzyło w niego całym swoim ciężarem i przewróciło go na trawę. Smród odebrał mu oddech, miecz upadł gdzieś w trawę, a łapy zgnilca zaczęły

okładać go po całym ciele. Bronił się, jak mógł, ale nie szło mu najlepiej. Potwór był cięższy, silniejszy, szybszy i ewidentnie wygrywał. Wojownik czuł się jak worek treningowy okładany z siłą i szybkością, jakiej nigdy wcześniej nie widział ani nie czuł.

Prawie stracił przytomność, gdy znów z nieoczekiwaną pomocą przyszły szkielety. Zaatakowały ponownie, wałąc w potwora, czym popadnie. Jednak nie stanowiły już dla niego realnego zagrożenia. Oganiał się od tych ataków jak od natrętnej muchy i dalej grzmocił w leżącego na ziemi uciekiniera. Wojownik czuł, jak traci siły. Coraz słabiej osłaniał się przed kolejnymi ciosami. Mógł go uratować tylko cud. W tym momencie zobaczył wyłaniającą się z lasu postać w długiej czarnej szacie. W ułamku sekundy zarejestrował, że nadchodząca istota miała długą siwą brodę, krzaczaste brwi oraz kapelusz z szerokim rondem przykrywający głowę i rzucający na oczy cień. Wspierała się na drewnianym kosturze i niespiesznie zbliżał się do walczących. Podniósł wolną rękę, wypowiadając jakieś słowa, i wystrzeliła z niej kula fioletowego światła, uderzając w stos nieumarłych, który kotłował się na ciele wojownika. Wszyscy spadli lub odlecieli na bok, dając ofierze ulgę. Była dla niego zbawieniem. Poobijane ciało odmawiało współpracy i okropnie bolało. Wyglądało na to, że ojciec miał rację, kraina ludzi to nie było miejsce dla takich jak on. Choć może ten przybysz, który go uratował, będzie dla niego szansą. Zanim ostatecznie stracił przytomność, młody el-elendi usłyszał chrapliwe słowa.

– A to ci ciekawostka.

#2

Obudziłem się dzisiaj dość wcześnie. Znaczący... sami rozumiecie, że słowo „obudziłem” w przypadku szkieletu brzmi dość dziwnie. Zacząłem widzieć i słyszeć, co się dzieje wokół mnie. Bo my, szkielety, tak naprawdę nie śpimy. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że tak, ale wiecie – w pustej czaszce trudno zamknąć oczy, zwłaszcza jak się ich nie ma, tylko zamiast nich takie dwa ogniki. I jak się wreszcie obudziłem, to było wcześnie. A musicie wiedzieć, że my, szkielety, jak zasypiamy, to nigdy nie wiadomo, kiedy się obudzimy. Tak to już jest. Szczurek mówi, że zapadamy w letarg. Ja tam w nic nie zapadam. Gaszę te moje ogniki w oczach i przestają się ruszać. I jak się obudzę, to się obudzę. Nigdy nie wiem kiedy. Zapytacie, skąd wiem, że mam te dwa ogniki i że one gasną, jak zasypiam. Wiem, bo kiedyś, jak się zapuściłem ze Szczurkiem na górne poziomy, to znaleźliśmy taką ścianę, co można się było w niej pooglądać. I widziałem siebie. Najpierw się trochę wystraszyłem. Też byście się wystraszyli chodzącego szkieletu, co nie? Ale jak już przestałem się bać, to mi Szczurek powiedział, że w tej ścianie to byłem ja. I Szczurek oczywiście też. On mówi, że ja to głupi trochę jestem. Ja tam nie wiem. Jestem jak inne szkielety.

Skoro już byłem obudzony, to sprawdziłem, czy wyposażenie jest na miejscu. Jak tak sobie śpię, to nic nie czuję i nigdy nie wiadomo, czy ktoś sobie czegoś nie zabierze. Najpierw buty, które bardzo lubię. Są w dobrym stanie i potrafię w nich chodzić bardzo cicho. Jeśli oczywiście chcę. Cholewki sięgają prawie do kolan, dzięki czemu nie obawiam się, że o coś zawadzę w podziemiach. Może dzięki temu nigdy nie złamałem żadnej kostki u nogi? Spodnie także na swoim miejscu. Znaczący, to, co z nich zostało, czyli głównie dziury. Szczurek się śmieje, że całe moje wyposażenie to głównie dziury, ale ja się tym w ogóle nie przejmuję. I co z tego, że to dziury, przynajmniej dobrze przez nie widać wszystkie moje kości i wiem, że są na miejscu. Zatem dziurawe spodnie są. Najwięcej zostało ich – tych spodni oczywiście – w okolicach bioder, gdzie szarobury materiał spinał skórzany pas. On też miał dziurki, ale takie małe, dzięki którym można było zapiąć zardzewiałą sprzączkę. Powodowała, że pas ładnie zawisał na moich biodrach i trzymał zarówno spodnie, jak i zardzewiałą, ułamany miecz. Miałem swój miecz, wyobrażacie sobie? Większość z nas, szkieletów, nie miała broni przy paskach. To było po prostu niepraktyczne, bo paska nie było jak zapiąć. Spadał z kości. Ale ja wpadłem na sprytny pomysł zapięcia mojego w taki sposób, żeby nie opadał. Więc miałem miecz. Czyli wszystko było na swoim miejscu, bo koszuli ani czapki nie nosiłem. Po co komu takie rzeczy w podziemiach?

Byłem gotowy do rozpoczęcia kolejnej nocy, choć było jeszcze wcześnie. Wszyscy z rodziny leżeli po kątach, w swoich trumienkach lub innych pudełkach czy wnękach. Bo wiecie, my, szkielety, to zazwyczaj poruszamy się w nocy. W dzień to jakoś tak nie wypada świecić kośćmi przed ludźmi. Jeszcze się jakiś pies czy inny szczur przyczepi i stracisz nogę. Albo i inny kawałek. A szkoda dobrej nogi. Mietek to sobie ostatnio musiał przyczepić kij od starej miotły, jak mu jakiś burek oderwał pischel razem ze

stopą. No ale jak się śpi na górnych poziomach, to nie ma co się dziwić. Sam jest sobie winien. Ale ja nie o tym chciałem opowiedzieć. To będzie historia o wielkiej wyprawie, która na dobre zmieniła moje... hmm... nie-
życie? Nie wiem do końca, jak to powiedzieć. Dobra, zacznijmy może od samego początku, to się sami zorientujecie.

Każdą noc w podziemiach zaczynam od obchodu mojego poziomu. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale jak przychodzi wieczór, to coś mi mówi „Szkielu, musisz iść zobaczyć, czy nic się w okolicy nie zmieniło”. Powiecie, że to głosy w głowie, ale to nie do końca tak. Ja nie słyszę głosu, ale wiem, że właśnie tak trzeba zrobić. Skąd się to bierze? Nie mam pojęcia, ale jest i już. Zawsze zaczynam od sali, gdzie śpią ghule. To są mało przyjemne stworzenia. Wyglądają trochę jak niscy ludzie, ale mają zdecydowanie dłuższe ręce. Chodzą pochyleni do przodu, podpierając się tymi właśnie rękami. Zazwyczaj mają zieloną lub zielono-brązową skórę. Nie noszą właściwie żadnych ubrań i zachowują się dziwacznie. Chodzą tylko grupkami, mruczą, ciamkają, warczą i są ogólnie nieznośni. Nie da się z nimi w nic zagrać. Co prawda, jak się uprzesz, to możesz sobie z nimi pogadać, ale nie mają za wiele do powiedzenia, bo są strasznie głupie. Zazwyczaj tylko mówią „mięso”. Nic ciekawego. Ghule jeszcze spały. Nie wybierają sobie takich wygodnych wnęk jak my, szkielety, tylko leżą, gdzie popadnie. Czasami nawet ciężko koło nich przejść, bo zajmują całą podłogę. Dzisiaj na szczęście nie było tak źle. Wystarczyło zrobić duży krok nad jednym, a drugiego trochę przesunąć i już.

Drugie pomieszczenie, jakie odwiedzam, to komnata tortur. Stoją tam takie fikuśne urządzenia mające mnóstwo przekładni, lewarków, kółek zębatych i ostrych krawędzi. Nie wiem, do czego to wszystko służy. Nie wiem, co to są te całe tortury. Może tak się nazywają graty porozkładane w tym pokoju? Kiedyś pytałem o to mojego przyjaciela, Szczurka.

Odpowiedział tylko, że jako szkielet powinienem wiedzieć takie rzeczy. Ale ja nie mam takiej pamięci jak on i nie jestem taki mądry. Szczurek to w ogóle nie zagląda do tego pomieszczenia. Mówi, że mu się źle kojarzy i nie chce o tym rozmawiać. Szanuję to. Jak kiedyś będzie chciał, to mi o tym opowie.

Przez salę tortur jest wygodne przejście samym środkiem. Tym razem jednak coś było nie tak. Pod drzwiami, po drugiej stronie, leżała kupka kości. Normalnie bym nie zwrócił na to uwagi, ale wcześniej jej tutaj nie było. Podeszedłem do niej ostrożnie. Wiecie, z takimi rzeczami trzeba delikatnie, żeby przypadkiem niczego nie nadepnąć albo i nie złamać. A jakby się okazało, że to ktoś z rodziny? Nie chcielibyście połamać kończyn komuś z rodziny, prawda? Kości wymieszane z fragmentami starych tkanin i jakiegoś żelastwa leżały sobie spokojnie, nic nie mówiąc. Dziwicie się, że kości mogą mówić? Jakby to był któryś z moich kuzynów, to by mówił. Znaczy, jego czaszka by mówiła, jeśli leżałaby w tym miejscu. Ale czaszki nie było. Rozejrzałem się dookoła, ale nigdzie nie było jej widać. Może trzeba przeszukać całą tę salę tortur? Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Zajrzałem pod każdy mebel i w każdą dziurę, podniosłem wszystkie luźno leżące elementy, obszukałem wszelkie szafki i skrytki, ale nic nie znalazłem. Absolutnie nic. Czaszki w sali tortur nie było.

Wróciłem do kupki i ostrożnie zacząłem przekładać kostki na duży stół. Im więcej elementów udawało mi się zidentyfikować, tym bardziej byłem pewny, do kogo należy ten szkielet. Pęknięta kość udowa, która mimo to trzymała się jako całość, poszczerbione żebra, jakby ktoś piłował je niezbyt ostrym narzędziem, kompletne kości dłoni i przedramion połączone ze sobą starymi, wyschniętymi ścięgnami i na koniec bardzo charakterystyczne kości kręgów szyjnych, do których ktoś przymocował kilka sznurków i rzemieni, używając do tego celu zardzewiałych gwoździ. Obszarpana

koszula, przepaska biodrowa, stare sandały i kawałek żelastwa, który kiedyś był toporem. To był kuzyn Gienek. A tak dokładnie to był szkielet kuzyna Gienka tylko bez głowy. A to znaczy, że wydarzyło się tutaj jakieś nieszczęście. Gienek dbał o siebie i nie był skłonny do ryzyka. Te sznurki i rzemyki na szyi przymocowaliśmy mu kiedyś z kolegami na jego wyraźną prośbę. Chciał się zabezpieczyć przed odpadnięciem głowy. Musicie wiedzieć, że nas, szkielety, w jednym kawałku trzyma właśnie głowa. Jak ktoś gubi głowę, to cały się rozpada. Znaczący na poszczególne kosteczki, chyba że się trzymają jakoś na ścięgnach czy właśnie na sznurkach. Czasem wystarczy niefortunnie się potknąć i już – zostaje z ciebie smętna kupka i czaszka, która oczywiście może dalej mówić, tylko nigdzie nie pójdzie. Jak znajdzie się ktoś miły i znów przyłoży głowę do karku, to szkielet wstaje, jak gdyby nigdy nic. Jak się jakieś kosteczki pogubiły i nie są daleko, to same przylecą. To jest magia naszego nekromanty. Nie mam pojęcia, jak to działa, ale ważne, że działa. A kuzyn Gienek najwyraźniej zgubił głowę. Kuzynom w potrzebie trzeba pomagać, więc nie zostało mi nic innego jak poszukać czaszki. Tyle tylko, że w sali tortur jej nie było. Przeszukałem ją tak dokładnie, jak umiałem, i nic nie znalazłem. Wróciłem do korytarza prowadzącego z legowiska ghuli, ale tam też nic nie było. Ruszyłem więc dalej, rozglądając się uważnie i zaglądając do różnych wnęk oraz pomieszczeń. Dopiero w trzecim czy czwartym pokoju znalazłem głowę Gienka. Czaszka leżała na podłodze zwrócona do ściany i cichutko, niezrozumiale mamrotała do siebie. Złapałem ją w ręce jak najszybciej i zwróciłem w swoim kierunku.

– Szkielu!

– Gienek! – zakrzyknęliśmy jednocześnie, próbując od razu zacząć kolejne zdanie.

– Szkielu, kuzynie kochany. Jak dobrze, że tutaj przyszedłeś. Już się obawiałem, że zostanę w tej dziurze na zawsze. Przekłete gryzonie.

– Co się stało? – zaniepokoiłem się.

– To wszystko przez te durne szczury! – zaczął prawie krzyknąć Gienek. – Banda śmierdzących gnojników. Wyobraź sobie, że spacerowałem zadowolony po tym poziomie, gdy zaatakowały mnie te piekielne stworzenia. W sali tortur, gdy oglądałem jeden z tamtejszych stołów do rozciągania, całe stado rzuciło się na mnie w jakimś szale i przewróciło na podłogę. Wiesz jakie to nieprzyjemne? Oczywiście moja głowa odpadła. Na nic się zdały te wszystkie mocowania. I wszystko by było dobrze, ale te wredne, małe śmierdziele zaczęły toczyć moją czaszkę po podłodze. Odbijałem się od ścian, świat wirował dookoła, aż w końcu wylądowałem tutaj. A one pobiegły dalej. I tak tutaj leżę od dłuższego czasu. Bałem się, że już na zawsze. Na szczęście mnie znalazłeś.

– Nie martw się – powiedziałem, biorąc jego czaszkę pod pachę. – Zaczekaj, coś na to poradzimy. – Zanieśliśmy szybko głowę kuzyna do sali tortur. Jak tylko przyłożyłem ją do kości szyi, magia naszego nekromanty załatwiła sprawę. W kilka chwil stał przede mną obszarpany szkielet Gienka.

– Dzięki, Szkiele – powiedział. – Uratowałeś mnie. Mam u ciebie dług.

– Niczym się nie martw. Zrobiłbyś to samo dla mnie.

– Tak, tak, ale to bardzo miłe, co zrobiłeś. Dziękuję.

– Tak, ale teraz muszę iść dalej. Mam obchód do zrobienia – odpowiedziałem trochę oniesmielony i pomachałem Gienkowi na pożegnanie. Kiwnął głową, poprawiając trochę szczękę, odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku.

Cała akcja szukania gienkowej głowy zajęła trochę czasu. Nie chodzi o to, że się musiałem śpieszyć, co to, to nie. Oznaczało to tylko, że dotrę do mojego przyjaciela Szczurka później, niż planowałem. Do odwiedzenia pozostały mi jeszcze korytarze pajaków oraz sala zombie, gdzie urzędował wujek Mietek z kolegami. U pajaków panował spokój. Zawsze, jak

tamtędy przechodzę, staram się, żeby nie naruszyć ich sieci. Strasznie się wtedy wkurzają i łażą po całym moim szkielecie. A to nie jest zbyt przyjemne i może być niebezpieczne. To znaczy, chodzi o to, że może być niebezpieczne dla nich, a nie dla mnie. Pająki nie są duże, same nie mówią i nie rozumieją, jak się do nich mówi. Dbają wyłącznie o swoje sieci, a reszta mało ich obchodzi. Ale jak są wkurzone, to włożą na ciebie i próbują gryźć. Mnie to nie robi większej różnicy, jak jednak zaczną taką zabawę, to stoję w miejscu, żeby żadnego przez przypadek nie nadepnąć. Dlatego mówiłem, że to może być niebezpieczne. Bo jakbym nadepnął któregoś, to przecież mógłbym go zabić. Wyobrażacie sobie, jak przykro by się zrobiło pajęczej mamie, gdyby jedno z jej dzieci ktoś rozdeptał? Pajęcza mama bardzo dba o swoje kilka setek dzieci, zna je wszystkie i przepada za nimi. A nikt nie chce spotkać zdenerwowanej pajęczej mamy. Małe pająki pomagają utrzymywać porządek w korytarzach. To dlatego, jak ktoś zepsuje pajęczyny, to wszystkie się tak denerwują. Też byście się wkurzyli, jakby ktoś przyszedł do waszego domu i zaczął rwać zasłony, prawda? Udało mi się przejść przez ich legowisko bez awarii. Trwało to trochę, bo poruszałem się najostrożniej, jak potrafię, ale dzięki temu nie zerwałem żadnej pajęczyny. Wydawało mi się pod koniec, że słyszę cichy szept mówiący „dziękuję”. A może to było tylko szuranie pajęczych odnóży po ścianach? Sam nie wiem.

Ostatni punkt mojej trasy jest zawsze najweselszy. Sala zombie tętni... nieżyciem? Wujek Mietek i jego kumple to strasznie rozrywkowe towarzystwo. Grają w różne gry i ciągle zapraszają do zabawy. Na przykład uwielbiają kości. Wicie, jak się gra w kości? Nie? Bieremy ręce jakiegoś szkieletu. Oczywiście mówimy o takich szkieletach, co nie chodzą. Więc bierzemy jego obydwie ręce, potem rozdzielamy je na poszczególne kosteczki i wrzucamy do worka. Na sygnał sędzia wysypuje to wszystko na

stół, a dwóch graczy ma za zadanie jak najszybciej ułożyć jedną dłoń. Kto pierwszy, ten wygrywa. Do tej gry rzadko zaprasza się szkielety, bo one mają ułatwienie. W końcu każda ich ręka jest ściągawką, prawda?

Albo taka gra „czyja to noga”. Już się domyślacie, o co chodzi? Wszyscy poza prowadzącym siadają tak, żeby nie było widać nóg, albo zakrywają je jakimiś szmatami. Następnie zamykają oczy albo to, co im z nich zostało, a jak to się stanie, to prowadzący podchodzi do jednego z uczestników, odrywa nogę i rzuca ją na środek. Potem wszyscy otwierają oczy i muszą zgadnąć czyja to noga. Fajnie, prawda? Nie jest to łatwe zadanie, bo wszystkie nogi zombiaków wyglądają podobnie. To znaczy, są zgniłe i zielone. Jak już się uda zgadnąć właściciela, to oczywiście trzeba mu pomóc tę nogę przymocować. Takich to zabaw można się spodziewać u zombie. Dlatego lubię do nich zachodzić. Dzisiaj było podobnie. Mimo późnej pory grupki w różnych miejscach sali grały w różne gry. Przyglądałem się z największym zainteresowaniem właśnie grze w kości, w której wygrywał wujek Jossek. Często ze mną laził po korytarzach, naoglądał się szkieletów i dlatego miał przewagę. Mówiłem wam już, że zombiaki mają bardzo słabą pamięć? Czasem zapominają, z kim rozmawiali przed chwilą. Wszystkie z wyjątkiem wujka Joska. Nie wiedzieć czemu, on pamięta bardzo wiele. Dlatego tak łatwo wygrywa w kości. Jak tylko skończyli, wujek zagadnął:

– Szkielu, strasznie późno do nas dzisiaj dotarłeś. Już prawie koniec nocy.

– Wiem, wujku, ale musiałem pomóc Gienkowi. Rozpadł się na kawałeczki i trzeba było znaleźć jego głowę.

– O rany, to straszne. Co się stało?

Opowiedziałem całą historię mojego kuzyna. Wujek zaniepokoił się zachowaniem szczurów. Podrapał się po głowie (odrywając przy okazji kawałek skalpu) i powiedział:

– Musimy pogadać z twoim przyjacielem Szczurkiem. On będzie wiedział, dlaczego jego pobratymcy tak dziwnie się zachowują.

– Ojej, wujku! – zakrzyknąłem. – Miałem właśnie do niego iść.

– Ruszajmy zatem razem. – Jasek odwrócił się w kierunku wyjścia z pomieszczenia, złapał mnie za rękę i pociągnął. – Do szczurkowej norki.

– Do norki – potwierdziłem i chcąc nie chcąc, ruszyłem za Wujkiem.

Mój czworonożny przyjaciel ma swoje mieszkanie na tym samym poziomie co ja swoją wnękę. Wystarczy, że wyjdę do sali, w której imprezuje wujek Jasek z kolegami, a potem przejdę do schodów z wyższych poziomów. Zaraz przy nich jest taka mała wyrwa w murze, kilka cegieł wypadło ze starości na ziemię i zostawiło przejście do jakiejś komórki za ścianą. I przez tę dziurę właśnie można dostać się do mieszkania Szczurka. Znaczący, on może się dostać, bo jest mały. No i może jeszcze te zielone glutowate paskudztwa, które czasami się pojawiają na dolnych poziomach. Ale z nimi Szczurek sobie jakoś radzi. Mówił mi, że ma w środku kilka ciekawych pułapek i jeszcze żaden zielony glut nie dotarł dalej niż do pierwszego zakrętu. Ja niestety do Szczurka do domu się nie zmieszczę. Kilka kosteczek może by weszło, ale głowa nie za bardzo, o miednicy nie wspominając. Zaszedłem więc do Szczurka razem z wujkiem Joskiem i jak zawsze postukałem swoim zardzewiałym mieczem w ścianę koło wejścia. Bo nie wiem, czy wiecie, ale mam własny miecz. Nie wiem skąd – ciocia Wiedźma mówi, że każdy szkielet ma zardzewiały miecz, drewniany łuk albo inne resztki broni. Mnie trafił się miecz. Lubię go, można się nim podpierać, jak cię nudzi łażenie po korytarzach. Albo można nim kogoś walnąć, jak się chce. Ja jeszcze nigdy nie próbowałem, ale starsze szkielety mówią, że to nawet całkiem fajne. Tylko trochę niebezpieczne, bo ten drugi może oddać i potem trzeba prosić przyjaciół i rodzinę, żeby cię poskładali. A jak nie ma w okolicy nikogo ze sprawnymi palcami, to i kilka

nocy można tak leżeć jak kupka starych kości. Ale ja znów nie o tym. Zapukałem więc do Szczurka, a on zaraz wystawił nosek ze swojej norki.

– To ty, Szkielu? – zapytał, nie widząc mnie.

– Tak, Szczurku, to ja. Nikt inny. I jest ze mną wujek Jasek – odpowiedziałem, pokazując mu część swojej nogi. Mój przyjaciel szybko wspiął się na moje ramię, żebyśmy mogli łatwiej rozmawiać.

– Bardzo się cieszę, że cię dzisiaj widzę. Jesteś mi potrzebny – powiedział już prosto przy mojej czaszce.

– Poczekaj, drogi Szczurku – wtrącił się wujek. – Chciałem cię o coś zapytać.

– Nieczęsto zombiaki chcą czegoś ode mnie. Powiedz, o co chodzi?

– Chodzi o inne szczury. Zachowują się dziwnie.

– Jak to dziwnie? To są dzikie szczury z podziemi. Zawsze zachowują się dziwnie lub co najmniej niebezpiecznie.

– Tak, tak, ale tym razem to naprawdę dziwne. Opowiedz mu, Szkielu.

Kiwnąłem głową i opowiedziałem mojemu przyjacielowi historię Gienka. Nie przerywał, a na koniec długo nic nie mówił. W końcu się odezwał, trzęsąc wąsikami.

– Jak dla mnie to wygląda tak, jakby miały nowego przywódcę. Wiecie, nasze szczury, te z naszych podziemi, są trochę mądrzejsze niż te powierzchniowe. Dużo więcej rozumieją i inaczej się organizują. Każdemu stadu przewodzi jeden, najsilniejszy lub najbardziej pokręcony osobnik. Całe stado idzie za nim i realizuje jego pomysły. Im bardziej niebezpieczne i szalone, tym większe poważanie ma przywódca. Jeśli zdecydowały się zaatakować szkielec i jeszcze dodatkowo bawić się jego głową, to znaczy, że nowy lider tego stada jest jeszcze bardziej szurnięty niż poprzedni. Choć wydaje się to dziwne, ich zachowanie jest jak najbardziej wytłumaczalne. Nie ma co się doszukiwać czegoś specjalnego. Ot, szczurze sprawy i tyle.

– To jednak dość niepokojące, nie uważasz? – zapytał wujek Josek. – A co, jeśli zdecydują się zaatakować zombiaki albo na ten przykład wampiry z dolnych poziomów?

– Atakiem na wampiry bym się nie przejmował. Przywódcy szczurzych stad są szaleni, ale nawet oni mają trochę instynktu samozachowawczego.

– Czego? – powiedzieliśmy jednocześnie z wujkiem.

– O rany, chodzi o to, że ich pomysły nie doprowadzą do zagłady całego stada. A rzadko kiedy są niebezpieczne dla samych przywódców. Atak na wampiry mógłby skończyć się właśnie czymś takim. Wiecie, jakie one są mściwe. I jeszcze ta umiejętność zamiany w nietoperze. Zdecydowanie źle by się to skończyło dla biednych szczurów.

– No tak, ale co z zombiakami? – zapytałem zatroskany, co może się stać z wujkiem i jego przyjaciółmi, jak zaatakują ich szczurze stada.

– Nie martw się, szczury poszaleją i im przejdzie – odpowiedział swobodnie mój przyjaciel. – Najwyżej zjedzą jedną czy drugą nogę któregoś z was.

– No i co my teraz mamy zrobić?! – zakrzyknął wujek Josek.

– Nie denerwuj się, Jasek – odpowiedział Szczurek. – Wydaje mi się, że wiem, które to stado. Jeden z liderów z poziomu wyżej był dość stary i pewnie przyszła na niego pora. Albo też nowy przywódca wyzwał go na pojedynek i pokonał. Nie jest to teraz ważne. Jeśli się nie mylę, to nie macie się czego obawiać. To stado mieszka u góry i poluje u siebie lub nawet na powierzchni. Wolą świeże mięso od waszych, za przeproszeniem, zgniłych członków.

– Wcale nie jestem taki zgniły – obruszył się wujek, ale tak nie całkiem na serio. Wszyscy wiedzieli, że zombiaki są trochę nadgniłe, a część z nich to już całkiem się rozpada. – No dobrze, może trochę, ale wiele kawałków

mam jeszcze w dobrym stanie. I nie chcę, żeby stały się pokarmem dla szcurzej rodziny.

– Mi czasami dajesz kawałeczek... – mruknął Szczurek cichutko, ale wujek Jasek i tak go usłyszał.

– Ty to co innego. Ty jesteś przyjacielem rodziny.

– Rozumiem, ale jak mówiłem, nie musisz się obawiać. To stado raczej tutaj nie wróci. Jeśli chcesz, mogę później sprawdzić, czy rzeczywiście to są oni. Znam jednak wszystkie szcurre stada w naszych podziemiach i tylko ich przywódca był na tyle słaby, że nowy osobnik mógł mu rzucić wyzwanie. Pozostali są bardzo silni i siedzą na swoich terytoriach.

– Nie martw się, wujku – dorzuciłem. – Będę patrolował wasze korytarze wyjątkowo uważnie i jak zobaczę jakieś szcurre, przepędzę je swoim mieczem. Oczywiście wszystkie poza tobą, Szczurku.

Wujek Jasek nie wyglądał na przekonanego. Drapał się po głowie, miętosił w rękach resztki swojego ubrania i wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co. Szczurek zaś kręcił się na moim ramieniu wyraźnie zniecierpliwiony.

– Słuchaj, Szczurku – zaczął w końcu wujek – a nie mógłbyś, no wiesz, pogadać z tymi szcurremi? W końcu to twój pobratymcy. Rozmów się z nimi jak... szcure ze szcurem. Powiedz im, żeby nie atakowali naszej rodziny.

Mój przyjaciel spojrzał na Joska nieprzeniknionym wzrokiem i odpowiedział:

– Nie. Ma. Mowy. Nie gadam z tymi barbarzyńcami i łachmytami.

– Tak tylko myślałem, że skoro ty jesteś szcurem...

– Nie i jeszcze raz nie. Nie niżę się do ich poziomu. To są zwierzęta. A ja jestem porządnym gadającym szcurem. Nie i koniec. – Szczurek wyglądał na obrażonego propozycją.

– Ojej – znów się wtrąciłem. – Wujek na pewno nie chciał cię urazić, prawda wujku?

– Nie, absolutnie nie. W sumie to bardzo ci dziękuję za uspokojenie. Skoro mówisz, że nas nie napadną, to na pewno tego nie zrobią. Na pewno. To wiecie co? Ja już sobie pójdę, dobrze? Wrócę do moich, bo gotowi są skończyć granie beze mnie – dokończył szybko Jasek, odwrócił się na pięcie i powlókł w kierunku sali zombiaków. Muszę wam powiedzieć, że mój przyjaciel Szczurek cieszy się sporym poważaniem w rodzinie. Pewnie dlatego, że jest taki mądry. W końcu jest gadającym szczurem. Znacie jakiegoś? Ja też nie. Jest wyjątkowy i bardzo go lubię.

Jak wujek oddalił się już spory kawałek, to zapytałem mojego przyjaciela, do czego mu jestem dzisiaj potrzebny.

– Dzisiaj wyjdziemy na powierzchnię – oświadczył, dumnie prężąc wąsiki. – Ja będę twoim przewodnikiem, a ty będziesz moimi nogami. – Nie do końca zrozumiałem, o co mu chodzi, więc zapytałem.

– Jak mogę być twoimi nogami, skoro ty masz swoje własne i to aż cztery? Chcesz mieć jeszcze dwie dodatkowe? I to szkieletowe? Bo jak tak, to musimy iść na dół do Nekromanty, a nie na powierzchnię. Tylko Nekromanta może połączyć moje nogi z twoim ciałem. Tylko... – zawałałem się, nie bardzo wiedząc, jak mu powiedzieć, że w celu podłączenia szkieletowych nóg Nekromanta będzie musiał czarować i to pewnie nie będzie przyjemne. Tak myślę.

– Nie, nie – wszedł mi w słowo. – Nie o to chodzi. Zaniesiesz mnie po prostu na górę, bo to kawał drogi i jeszcze trzeba iść po schodach. I może przyda nam się też twój miecz, jak będzie trzeba się bronić przed bohaterami.

– A! Teraz rozumiem – odpowiedziałem. – Chętnie cię zaniosę na górę, ale powiedz mi, po co ty chcesz tam iść? To niebezpieczne. A jak spotkamy

właśnie bohaterów? Uderzanie mieczem w bohaterów to już w ogóle nie do pomyślenia. Przecież oni mogą oddać i skończymy jak kupka kości. Kto nas poskłada później? Nekromanta nigdy nie wychodzi wyżej, a i rodzina raczej unika takich wycieczek. Może z tego być jakaś bieda.

– Niczym się nie przejmuj drogi przyjacielu. Muszę wyjść na górę po coś świeżego do jedzenia. Może jakieś marchewki się znajdą albo trochę mięsa uda się zwędzić. Albo znajdę jakiś worek z ziarnami. Cokolwiek innego niż mech i stare kości, które mam na dole.

– Ale wujek Jasek może ci kawałek nogi odkroić. Jeszcze mu trochę zostało – próbowałem odwieźć go od szalonego pomysłu.

– Nie, nie, nie. To nie to samo. Powinno być świeże, a nie takie jak na nodze wujka Joska. Idziemy. – Szczurek podniósł pyszczek go góry i wskazał noskiem w kierunku schodów.

I tak to właśnie się zaczęło, jak mówiłem. Z powodu szczurkowej chęci na marchewki i trochę świeżego mięsa

Copyright © Piotr Celej 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Magda Ceglarz

Korekta: Anna Godlewska

Projekt okładki: Weronika Wojtaszewska

Ilustracja na okładce: Weronika Wojtaszewska

DTP: Graph-Sign

BookEdit

tel.: 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.com/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl/

BookEdit

ISBN 978-83-68032-91-8

Szkielu, niezbyt rozgarnięty i dobroduszny szkielet, mieszka w podziemiach wraz z innymi nieumarłymi. Pewnego dnia on, gadający szczur oraz zupełnie odporny na strachy gnom wyruszają do świata żywych w poszukiwaniu pewnej niesamowicie ważnej karawany. Po drodze korzystają z pomocy magiczki Delii, uciekają przed okropnymi BOHATERAMI, ukrywają się przed strażnikami i próbują nie ujawnić, iż Szkielu to hmm... szkielet. A ludzie boją się szkieletów, prawda? On zaś uświadamia sobie, że chciałby wrócić do życia i znów mieć dawną postać. Czy to w ogóle możliwe? Czy Szkielu znajdzie sposób, by spełnić swoje marzenie? Czy dowie się, jak wyglądał i kim był?